

ARTHUR CONAN DOYLE

# URZĘDNIK MAKLERA\*

THE STOCK-BROKER'S CLERK  
PRZEŁOŻYL TADEUSZ EVERT

\* Makler — pośrednik w interesach finansowych

Wkrótce po moim małżeństwie kupiłem praktykę lekarską w dzielnicy Paddington. Siary doktor Farquhar, który mi ją odsprzedał, cieszył się ongi dużym wzięciem. Jednakże wiek i choroba Świętego Wita, na którą cierpiał, znacznie uszczupliły mu pacjentów. Ludzie, dość zresztą rozsądnie, uważają, że ten, co ma leczyć innych, sam musi być zdrowy, i podejrzliwie patrzą na lecznicze talenty człowieka, który siebie nie potrafi uzdrowić. Tak więc praktyka mego poprzednika zaczęła maleć, a gdy ją nabyłem, dochód z niej spadł z tysiąca dwustu funtów rocznie do trzystu kilku. Wierzyłem jednak w swą młodość i energię i byłem pewien, że w kilka lat moje interesy rozkwitną jak nigdy.

Trzy pierwsze miesiące po zainstalowaniu się w Paddington orałem jak koń i prawie nie widywałem mego przyjaciela Holmesa. Byłem zbyt zajęty, by się wybrać na Baker Street, a on wychodził z domu tylko w sprawach zawodowych. Zdziwiłem się więc bardzo, gdy pewnego czerwcowego poranka, czytając po śniadaniu „British Medical Journal”, usłyszałem najprzód dzwonek, a potem ostry, nieco skrzekliwy głos mego starego towarzysza.

— Ach, mój drogi — powiedział wchodząc do pokoju — cieszę się, że cię widzę. Myślę, że twoja małżonka przyszła już do siebie po wzruszeniu wywołanym sprawą „Znaku Czterech”?

— Dziękuję ci. Oboje mamy się dobrze — odpowiedziałem zamieniając z nim mocny uścisk dłoni.

— I spodziewam się — ciągnął siadając w fotelu na biegunach — że dla praktyki lekarskiej nie zapomniałeś o zagadnieniach dedukcji.

— Przeciwnie — odprułem. — Nie dalej jak wczoraj wieczór przeglądałem moje stare notatki i klasyfikowałem niektóre z naszych dawnych sukcesów.

— Chyba nie uważasz swojej kolekcji za zamkniętą?

— Ani trochę. Ogromnie bym się cieszył, gdybym mógł jeszcze coś do niej dorzucić.

— Już dziś na przykład?

— Chociażby dziś.

— Nawet gdyby trzeba było pojechać do Birmingham?

— Naturalnie, jeśli to jest konieczne.

— A chorzy?

— Nieraz zastępuję sąsiada. W zamian zawsze jest gotów mnie zastąpić.

— No, to wspaniale — rzekł Holmes odchylając się w fotelu i badawczo patrząc na mnie spod zmrużonych powiek. — Chorowałeś ostatnio. Te letnie chłody dają się we znaki.

— Tak. Przeziębilem się bardzo i przez trzy dni w ubiegłym tygodniu nie wychodziłem z domu. Ale sądziłem, że już nic po mnie nie znać.

— To racja. Po prostu tryskasz zdrowiem.

— Więc skąd wiesz o mojej chorobie?

— Mój stary, przecież znasz moje metody.

— Wydedukowałeś?

— Tak.

— Ale z czego?

— Z twoich pantofli.

Spojrzałem na skórzane pantofle, które miałem na nogach.

— Jakże, u Boga Ojca... — zacząłem. Ale Holmes nie czekał, aż skończę.

— Twoje pantofle są nowe — powiedział. — Musisz je mieć zaledwie od paru tygodni. Podeszwy, które mi tak łaskawie prezentujesz, są z lekka przypalone. Przez chwilę myślałem, że może zamokły i przypaliły się przy suszeniu. Ale na zelówce zachowała się jeszcze nalepka ze sklepu. Gdyby zmokły, papier by odpadł. A więc siedziałeś z nogami wyciągniętymi do ognia, czego nikt zdrowy nie robi w czerwcu, nawet tak deszczowym jak ten.

Jak każde rozumowanie Holmesa tak i to wydało mi się proste zaraz po usłyszeniu. Musiałem zdradzić się z tą myślą, bo Holmes patrząc na mnie uśmiechnął się gorzko.

— Obniżam, zdaje się, swój autorytet wyjaśniając bieg moich myśli — powiedział. — Same wyniki zawsze bardziej imponują. A więc możesz pojechać zaraz do Birmingham?,

— Tak. A o co chodzi?

— Dowiesz się w pociągu. Mój klient czeka nas na dole w dorożce. Czy możesz już iść?

— Już zaraz.

Szybko skreśliłem parą słów do mego sąsiada, pobiegłem na górę uprzedzić żonę i dopędziłem Holmesa przy drzwiach.

— Twój sąsiad jest lekarzem? — zapytał wskazując na mosiężną tabliczkę obok wejścia.

— Tak, Również nabył praktykę.

— Z dawna wyrobioną?

— Nie starszą od mojej. Obie istnieją od chwili wybudowania tego domu.

— No, to ty zdobyłeś lepszą.

— I ja tak myślę. Ale skąd wiesz?

— Widzę po schodach. Twoje są o wiele więcej zdeptane. Ten pan w dorożce to właśnie mój klient, Hall Pycroft. Pozwól, że cię przedstawię, — I zwrócił się do dorożkarza: — Poganiajcie no, mój przyjacielu, bo nie mamy za dużo czasu.

Człowiek, naprzeciw którego się znalazłem, był dobrze zbudowanym młodzieńcem o świeżej cerze, uczciwym obliczu i małym, kręconym rudym wąsiku. Ubrany był w czarny, szykowny garnitur i błyszczący cylinder. W tym stroju wyglądał na to, czym w istocie był: na dzielnego i obrotnego młodzieńca z City, przedstawiciela klasy ludzi przezywanych „cockneyami”\*, którzy jednak dają Anglii najdzielniejszych żołnierzy, najlepszych atletów i sportowców. Jego okrągła, rumiana twarz jaśniała naturalną pogodą, ale z opuszczonych kącików ust przebijała jakaś niemal komiczna rozpacz. Lecz dopiero siedząc w przedziale pierwszej klasy pociągu jadącego do Birmingham, dowiedziałem się, co tego młodzieńca sprowadziło do Sherlocka Holmesa.

— Mamy przed sobą siedemdziesiąt minut drogi — zauważył Holmes, — Chciałbym, panie Pycroft, by pan opowiedział mojemu przyjacielowi swoją historię, tak jak pan ją mnie przedstawił, a nawet bardziej szczegółowo, jeśli łaska. Przyda mi się wysłuchać jej od nowa, Watsonie, ta sprawa może być czymś albo niczym, ale w każdym razie ma posmak niezwykły i jest z gatunku tych, które obaj lak lubimy. Teraz, panie Pycroft, już nie będę panu przeszkadzał.

Nasz młody towarzysz spojrział na mnie błyszczącymi oczami.

— Najgorsze w tej historii jest to — zaczął — że wyszedłem w niej na durnia. Może wszystko się jeszcze dobrze skończy, a ja postępowałem, jak należało. Lecz jeśli zostałem na lodzie, nic w zamian nie zyskując, to dopiero byłem osłem! Nie bardzo umiem opowiadać, panie doktorze, ale to było mniej więcej tak:

Pracowałem w firmie Coxon & Woodhouse z Draper Garden, którzy jak pan zapewne słyszał, paskudnie się położyli wczesną wiosną na wenezuelskiej pożyczce. Pracowałem u nich pięć lat i stary Coxon dał mi diabelnie dobre świadectwo po tej katastrofie. Było nas jednak dwudziestu siedmiu urzędników i wszyscy poszliśmy na zieloną trawkę. Próbowałem zaczepić się tu i tam, ale wielu było w podobnym położeniu i zanosilo się na piekielną bryndzę. U Coxona brałem trzy funty tygodniowo i zdołałem sobie odłożyć całe siedemdziesiąt, ale pieniądze szybko topniały i zobaczyłem, że niebawem będę musiał położyć zęby na półkę. Już się do reszty wypompowałem i nawet nie miałem pieniędzy na znaczki i koperty do ofert. Zdarłem zelówki szukając pracy po różnych biurach, a wciąż byłem tak samo daleko od posady jak przedtem. Wreszcie wyczytałem, że wakuje miejsce w

\* Cockney — londyńczyk z dziada pradziada. Nazwą tą określa się londyńczyków z niezamożnych, niewykształconych sfer.

dużym domu maklerskim Mawson & Williams przy Lombard Street. Pan pewnie nic nie wie o tej firmie, powiem więc, że to jedna z najpoważniejszych w Londynie. Oferty należało składać tylko pisemnie. Posłałem więc moje świadectwo i podanie, bez najmniejszej zresztą nadziei. Odpowiedziano mi odwrotną pocztą, że jeśli się stawię do pracy w poniedziałek, a moja powierzchowność będzie szefom odpowiadać, mogę być od razu przyjęty. Bóg wie, jak się to stało. Niektórzy mówią, że szef nie zawraca sobie głowy i bierze pierwszą lepszą ofertę ze stosu. Tak czy owak przyszła na mnie kolej i czułem się jak wniebowzięty. Płacę miałem mieć większą o funta tygodniowo, a obowiązki takie jak u Coxona.

Teraz przechodzę do najdziwniejszej części opowiadania— Siedziałem u siebie w domu — mieszkam na Hampstead Way 17 Potter Terrace. A więc siedzę tego wieczoru, kiedy dostałem pomyślną odpowiedź, i palę, gdy wchodzi gospodyni z wizytówką w rękę. „Artur Pinner, agent giełdowy” było na niej wydrukowane. Nigdy przedtem nie słyszałem tego nazwiska i nie wiedziałem, czego by ten pan mógł ode mnie chcieć. Ale kazałem go prosić. Wchodzi mężczyzna średniego wzrostu, czarnooki, ciemnowłosy, brodaty, z zaczerwienionym nosem. Energiczny, wyrażający się zwięźle, jak człowiek, który zna wartość czasu.

— Pan Hall Pycroft? — pyta.

— Tak, proszę pana — odpowiadam i przysuwam mu krzesło.

— Ostatnio urzędnik w firmie Coxon & Woodhouse?

— Tak.

— A teraz u Mawsona?

— Tak jest, proszę pana.

— Doskonale — mówi. — Słyszałem, że pan jest niezwykle zdolnym finansistą. Pamięta pan Parkera, dawnego dyrektora od Coxona? Nie może się pana nachwalić.

— Z przyjemnością to słyszę. Robiłem, co mogłem, w biurze, ale nawet mi się nie śniło, że mam taką opinię.

— Ma pan dobrą pamięć? — pyta.

— Nienajgorszą — odpowiadam skromnie.

— Nie tracił pan kontaktu z rynkiem, kiedy pan był bez pracy?

— Nie. Codziennie czytałem biuletyn giełdowy.

— To się nazywa pilność! — zawołał. — Ho ho, daleko pan zajdzie. Wybacz mi pan małą próbę? Ano, zobaczmy. Jak stoją Ayrshires?

— Od stu pięciu do stu pięciu i ćwierć.

— A New Zealand Consolidated?

— Sto cztery.

— A British Broken Hills?

— Od siedmiu do siedmiu i sześć.

— Wspaniale! — wykrzyknął unosząc ręce z zachwytem. — To się zupełnie zgadza z tym, co mi o panu mówiono. Młodzieńcze, młodzieńcze, szkoda pana na zwykłego urzędnika u Mawsona!

Sami panowie rozumieją, jak mnie zdziwił ten wybuch zachwytem.

— No, inni, proszę pana, nie są o mnie tak wysokiego zdania — powiedziałem. — Nietatwo mi przyszło zdobyć tę pracę i zupełnie jestem z niej zadowolony.

— Nie zawracaj pan sobie tym głowy. To nie dla pana. Posłuchaj pan: jak na pańskie zdolności nie ofiaruję panu wiele, a jednak jest to jak niebo do ziemi w porównaniu z tym, co pan dostanie u Mawsona. Zastanówmy się. Kiedy pan zaczyna u Mawsona?

— W poniedziałek.

— Cha! cha! cha! stawiam wszystkie pieniądze, że pan tam w ogóle nie pójdzie.

— Nie pójdę do Mawsona?

— Nie, mój panie. W poniedziałek będzie pan już jednym z dyrektorów towarzystwa akcyjnego wyrobów żelaznych, Franco–Midland, posiadającego sto trzydzieści cztery filie w miastach i miasteczkach Francji, nie licząc oddziału w Brukseli i San Remo. Aż mnie zatkało ze zdziwienia.

— Nigdy nie słyszałem o takiej firmie — powiedziałem.

— Możliwe. Cicho jest o nas, bo cały kapitał wniosło tylko parę osób. Interes jest za dobry, żeby wpuszczać obcych. Mój brat, Harry Pinner, jest jego duszą, a zarazem prezesem zarządu. Wie on, że w City jestem jak w domu, i prosił mnie, żebym mu wyłowił młodego, wybijającego się człowieka, pełnego inicjatywy! Parker mówił mi o panu i przyszedłem. Możemy dać panu na razie nędzne pięćset funtów...

— Pięćset funtów rocznie! — wykrzyknąłem.

— Tylko na początek. Ale będzie pan miał zawrotną prowizję. Jeden procent od wszystkich pańskich transakcji. Gwarantuję panu, że przewyższy ona pańską pensję.

— Ale ja się nie znam na wyrobach żelaznych.

— Sza, mój drogi, znasz się pan na cyfrach.

W głowie mi huczało, nie mogłem usiedzieć na miejscu. Ale zbudziły się we mnie pewne wątpliwości.

— Muszę być szczery, proszę pana — powiedziałem. — Mawson daje mi tylko dwieście funtów, ale Mawson to pewniak. O pańskiej laś firmie wiem tyle, co...

— Wspaniale! Cudnie! — wykrzyknął mój gość uniesiony zachwytem. — Takiego człowieka nam potrzeba. Nie da się pan ocyganić, i to dobrze. Proszę pana, oto stufuntowy banknot. Jeśli pan uważa nasz interes za ubity, niech pan to schowa do kieszeni, jako zaliczkę.

— Pięknie — powiedziałem. — Kiedy mam stanąć do pracy?

— Niech pan przyjedzie jutro na pierwszą do Birmingham. Tu jest liścik do mego brata. Znajdzie go pan na Corporation Street 126 b. Tam czasowo mieści się nasze biuro. Oczywiście, on będzie musiał oficjalnie potwierdzić naszą umowę, ale to już jak załatwione.

— Naprawdę nie wiem, jak panu dziękować — powiedziałem.

— Nie ma o czym mówić, młodzieńcze. Dostał pan tylko to, na co pan zasługuje. Teraz jeszcze jedna kwestia, czysto formalna. Tu leży kawałek papieru. Proszę, niech pan na nim napisze: „Przyjmuję posadę dyrektora w towarzystwie akcyjnym Franco–Midland, Wyroby Żelazne, z podstawową pensją pięćset funtów”.

Zrobiłem, jak kazał, a on schował papier do kieszeni.

— No i jeszcze jeden drobiazg — powiedział. — Jak pan chce postąpić z Mawsonem?

Z tej wielkiej radości zupełnie o nim zapomniałem.

— Napiszę do niego, że rezygnuję z posady.

— Tego właśnie bym nie chciał. Posprzeczałem się o pana z ich kierownikiem. Poszedłem do nich, by zasięgnąć o panu informacji, a on wpadł na mnie. Zarzucił mi, że odciągam pracownika i tak dalej. Nie mogłem już wreszcie wytrzymać. „Jak chcecie mieć dobrych ludzi, to im dobrze płąćcie” — powiedziałem. „Będzie wołał nasze grosze od pańskich milionów” — odparł. „Zakładam się o piątkę — powiedziałem — że po mojej propozycji już o nim nie usłyszycie”. „Przyjmuję! — rzekł. — Wyciągnęliśmy go z nędzy i nie rzuci nas tak łatwo”. Tak powiedział.

— Bezczelny typ! — wykrzyknąłem. — Nawet go na oczy nie widziałem. Czemu miałbym się na niego oglądać? Jeśli pan chce, nic do nich nie napiszę. .

— Dobrze. Trzymam pana za słowo — rzekł wstając z krzesła. — Cieszę się, że znalazłem tak dobrego pracownika dla brata. Oto sto funtów zaliczki, a tu kartka do mego brata. Niech pan zapisze adres: 128 b Corporation Street. Jutro o pierwszej będzie pana oczekiwał. Dobranoc. Życzę panu powodzenia.

Tak się to mniej więcej odbyło. Może pan sobie wyobrazić, doktorze Watson, jaki byłem uradowany z tego uśmiechu losu. Z pół nocy upajałem się swym szczęściem, a nazajutrz, o

wiele wcześniejszym pociągiem, niż należało, jechałem na spotkanie w Birmingham, Rzeczy złożyłem w hotelu na New Street i udałem się pod wskazany adres.

Przyszedłem o kwadrans za wcześnie, ale — myślałam — to nic nie szkodzi. Numer 126 b był pasażem między dwoma wielkimi sklepami, prowadzącym do krętych kamiennych schodów, na które wychodziły drzwi licznych biur handlowych czy też kancelarii prywatnych. Ściany upstrzone były różnymi szyldzikami, ale między nimi nie znalazłem szyldu mego towarzystwa. Na chwilę serce we mnie zamarło na myśl, czy nie padłem ofiarą jakiegoś chytrego oszusta, gdy nagle podszedł do mnie jakiś mężczyzna. Bardzo przypominał mego wczorajszego gościa. Ten sam głos i figura, tylko twarz miał wygoloną, a włosy jaśniejsze.

— Czy pan Hall Pycroft? — zapytał.

— Tak — odparłem.

— Spodziewałem się pana. Ale pan przyjechał trochę wcześniej. Dziś rano dostałem list od mego brata. Bardzo pana chwalił.

— Właśnie szukałem pańskiego biura, gdy pan nadszedł.

— Nie wywiesiliśmy jeszcze szyldu, bo dopiero od tygodnia mieścimy się w tej, czasowej zresztą siedzibie. Niech pan idzie za mną, omówimy sprawę.

Poprowadził mnie na samą górę bardzo stromych schodów, skąd weszliśmy do dwóch pustych, zakurzonych i nieumeblowanych pokoiów. Marzyła mi się wielka hala z lśnącymi biurkami i rzędem urzędników przy nich, jak to zwykle bywa w dużych firmach. Muszę powiedzieć, że twarz mi się wydłużyła na widok dwóch sosnowych krzesełek i małego stoliczka który wraz z półką i koszem na papiery stanowił całe umeblowanie biura.

— Niech to pana nie przeraża, panie Pycroft — powiedział mój nowy znajomy, widząc moją zafrasowaną minę. — Nie od razu Rzym zbudowano. Mamy pełno pieniędzy, lecz nie przywiązujemy wagi do wyglądu naszych biur. Niech pan siada i pokaże mi list rekomendacyjny.

Uważnie przeczytał list, który mu podałem.

— Zrobił pan doskonale wrażenie na moim bracie, Arturze — powiedział po chwili. — A z niego surowy sędzia. Wprawdzie on ma na wszystko londyński pogląd, gdy ja — birminghamski, ale tym razem pójdę za jego radą. Może się pan uważać za zaangażowanego.

— Jakież będą moje obowiązki? — zapytałem.

— Pewnie obejmie pan kierownictwo naszego wielkiego składu w Paryżu. Stamtąd angielskie wyroby będą się rozchodziły do stu trzydziestu czterech naszych sklepów ajenturowych we Francji. Załatwimy to w ciągu tygodnia, a tymczasem zostanie pan w Birmingham, gdzie się pan bardzo przyda.

— Bo czego?

W odpowiedzi wyciągnął z szuflady grubą czerwoną księgę.

— To jest informator Paryża — powiedział. — Przy nazwiskach podaje zawody. Niech go pan zabierze do hotelu i wynotuje adresy wszystkich handlarzy wyrobami metalowymi. Bardzo mi to będzie potrzebne.

— Chyba istnieją informatory branżowe? — podsunąłem myśl.

— Nie można na nich polegać. Zupełnie inny układ niż w naszych. Niech pan przysiadzie fałdów i przyniesie mi spis w poniedziałek na dwunastą. Do widzenia panu. Firma potrafi się panu wywdzięczyc za sumienną i gorliwą pracę.

Wróciłem do hotelu z grubą księgą pod pachą, targany zmiennymi uczuciami. Z jednej strony czułem się definitywnie zaangażowany i miałem sto funtów w kieszeni, z drugiej jednak wygląd biura, brak szyldu i milion innych szczegółów, wpadających w oko każdemu kupcowi, zbudziło moje wątpliwości. Tak czy owak zapłacono mi, więc zabrałem się do dzieła. Całą niedzielę prześlęczałem nad pracą, ale mimo to w poniedziałek byłem dopiero przy literze „H”. Poszedłem więc do szefa, którego znalazłem w tym samym obskurnym

pokoju, i wyjednałem sobie zwłokę do środy, kiedy to znów miałem się stawić przed jego oblicze. Ale do środy pracy też nie skończyłem i ślezczałem nad nią aż do piątku, to znaczy do wczoraj. Wtedy przyniosłem gotowy spis Pinnerowi.

— Dziękuję panu — powiedział. — Zdaje się, że nie doceniłem trudności tej pracy. Ta lista ma dla mnie wielką wagę.

— Straciłem na nią dużo czasu — powiedziałem.

— A teraz chciałbym, żeby pan zrobił spis sklepów z artykułami gospodarstwa domowego, bo one wszystkie sprzedają garnki.

— Dobrze.

— Niech się pan pokaże jutro wieczorem o siódmej i powie, jak panu idzie ta praca. No i niech się pan nie przemęcza. Parę godzin spędzonych na rozrywce dobrze panu zrobi. — Roześmiał się, a ja z przerażeniem zobaczyłem, jak mu przy tym błysnęła paskudna złota plomba w drugim zębie po lewej stronie.

Sherlock Holmes aż zatarł ręce z zachwytu. Zdziwiony spojrzałem na naszego klienta.

— Pan się dziwi, panie doktorze, ale chodzi o to — powiedział — że gdy tamten drugi, z którym rozmawiałem w Londynie, roześmiał się na myśl, że nie pójdę do Mawsona, błysnęła taką samą plombą i w tym samym zębie. Błysk złota w obu wypadkach, jak pan widzi, wpadł mi w oko. Nie mogłem wątpić, że to ten sam facet, bo i głos, i figura były identyczne, a zmieniło się tylko to, co można było zmienić za pomocą brzytwy i peruki. Oczywiście dwaj bracia mogą być do siebie podobni, ale nie do tego stopnia, żeby aż zęby mieli jednakowo plombowane.

Pożegnał mnie skinieniem głowy i nawet nie wiem, jak się znalazłem na ulicy. Wróciłem do hotelu, zanurzyłem głowę w zimnej wodzie i próbowałem się zastanowić, co to wszystko znaczy. Po co wysłał mnie z Londynu do Birmingham? Po co tam się znalazł przede mną? I po co sam do siebie napisał list? Za trudna to była zagadka na mój rozum i nie zdołałem jej rozwiązać. Wtedy to wpadło mi do głowy, że czego ja nie rozumiem, może zrozumieć Sherlock Holmes. Ledwie zdążyłem na nocny pociąg. Dziś rano byłem na Baker Street, a teraz obaj panowie jadą ze mną z powrotem do Birmingham.

Po tej dziwnej opowieści zapadło milczenie. Sherlock Holmes, wygodnie oparty o poduszki, zezował ku mnie z miną znawcy, który właśnie przełknął pierwszy łyk wina z roku komety\*.

— Dobrze, co? — powiedział do mnie. — Niektóre szczegóły nadzwyczaj mi się podobają. Przyznasz chyba, że rozmówka z panem Arturem Harry Pinnerem w czasowej siedzibie towarzystwa akcyjnego Franco–Midland będzie ciekawą gratką dla nas obu.

— Ba! Ale jak to zrobić? — zapytałem.

— To nic trudnego — wtrącił żywo Hall Pycroft. — Podam panów za mych dwóch przyjaciół szukających pracy, Chyba zrozumiałe, że przychodzę z tym do naczelnego dyrektora.

— Doskonale — powiedział Holmes. — Chciałbym rzucić okiem na tego jegomościa i zobaczyć, czy mi się coś uda zrobić z tym fantem. Ciekawe, jakie to kwalifikacje czynią naszego młodego przyjaciela tak cennym nabytkiem? A może...

Utkwiwszy niewidzące oczy w okno począł gryźć paznokcie i aż do samej New Street nie wydobyliśmy z niego ani słowa.

Tegoż wieczora o siódmej szliśmy we trójkę ulicą Corporation do biura firmy Franco–Midland.

— Nie ma się co spieszyć — powiedział Pycroft. — Pinner przychodzi do biura tylko na spotkanie ze mną. Przed wyznaczoną godziną nie ma tam żywej duszy.

— To daje do myślenia — zauważył Holmes.

\* Wino z roku, w którym ukazała się kometa, uchodzi za najlepsze.

— A co? Nie mówiłem panom! To on tam idzie przed nami! — wykrzyknął młodzieniec i pokazał nam niewysokiego blondyna, porządnie ubranego, który szybko szedł przeciwległym chodnikiem. Właśnie patrzyliśmy na niego, gdy — na widok chłopca po drugiej stronie ulicy wykrzykującego tytuły wieczornych gazet — rzucił się między dorożki i omnibusy i kupił jedno z pism. Zacisnąwszy je w rękę znikł w bramie.

— To on! — wołał Pycroft. — Poszedł do biura! Chodźcie, panowie, urządzę to tak gładko, jak tylko można.

Idąc za nim weszliśmy na piąte piętro i stanęliśmy przed uchylonymi drzwiami. Na pukanie Pycrofta jakiś głos odpowiedział:

— Proszę wejść.

Weszliśmy do pustego, zupełnie nie urządzonego pokoju, takiego, jak nam Pycroft opisał. Przy jedynym stole, wpatrzony w rozłożoną gazetę, siedział mężczyzna, którego przed chwilą widzieliśmy na ulicy. Gdy weszliśmy, uniósł głowę i wydało mi się, że nigdy jeszcze nie widziałem bardziej smutnej i przerażonej twarzy. Mało kto chyba doświadczył w życiu takiego przerażenia jak ten człowiek. Pot mu wystąpił na czoło, policzki zbladły, wzrok stał się błędny. Na Pycrofta spojrział, jakby go nie poznawał, a i tego — widać to było po minie — zaskoczył niezwykle wygląd szefa.

— Panu coś dolega, panie Pinner! — wykrzyknął.

— Tak, źle się czuję — odparł zapytany, opanowując się z widocznym wysiłkiem. Obliznął spieczoną wargi. — Kto są ci panowie, którzy przyszli z panem?

— Jeden to pan Harris z Bermondsey, a drugi pan Price stąd — bez zająknięcia odparł Pycroft. — Są moimi przyjaciółmi, ludźmi doświadczonymi, ale od pewnego czasu bez pracy. Mają nadzieję, że może u pana coś się dla nich znajdzie.

— Być może, być może! — wykrzyknął Pinner krzywiąc usta w uśmiechu. — Nawet na pewno znajdziemy coś dla panów Jaki jest pański zawód, panie Harris?

— Jestem księgowym — odparł Holmes,

— O tak, będzie nam pan potrzebny. A pan, panie Price?

— Ja jestem zwykłym biuralistą.

— Myślę, że i dla pana coś się znajdzie Zawiadomię panów, gdy sprawa będzie aktualna. A teraz możecie już iść. Na miłość boską, zostawcie mnie samego! — wybuchnął nagle z taką gwałtownością, jakby już nie mógł dłużej panować nad nerwami.

Holmes wymienił ze mną spojrzenie, a Pycroft zbliżył się do stołu;

— Pan zapomina, że kazał mi pan dziś przyjść — powiedział.

— Tak, tak, panie Pycroft — już spokojniej rzekł Pinner. — Niech pan chwilę poczeka, a pańscy przyjaciele mogą poczekać razem z panem. Dokładnie za trzy minuty będę panu służył, jeśli wolno mi nadużyć pańskiej cierpliwości.

Wstał, bardzo uprzejmie skłonił się nam i wyszedł do drugiego pokoju, zamykając drzwi za sobą.

— No i co teraz? — szepnął Holmes. — Zwieje?

— Niemożliwe — odparł Pycroft.

— Dlaczego?

— Te drzwi prowadzą do sąsiedniego pokoju.

— A stamtąd nie ma wyjścia?

— Nie.

— Czy tamten pokój jest umeblowany?

— Wczoraj był pusty.

— Więc co on tam robi, na litość boską? W tym jest coś, czego nie mogę pojąć. Jeżeli ktokolwiek naprawdę o mało nie umarł ze strachu, to właśnie Pinner. Co go tak mogło przerazić?

— Bierze nas za detektywów — podsunąłem myśl.



— Na pewno — Zgodził się Pycroft. Holmes potrząsnął głową.

— On nie zbladł, on był blady, kiedyśmy weszli — odparł.

Być może... Przerwało mu głodne stuknięcie w sąsiednim pokoju.

— Po kiego licha gość stuka do własnych drzwi! — wykrzyknął Pycroft.

Stuknięcie powtórzyło się głośniejsze. Wyczekująco patrzyliśmy na drzwi. Spojrzawszy na Holmesa zobaczyłem, że rysy mu stężyły i w najwyższym podnieceniu pochylił się w przód. Nagle usłyszeliśmy charkot i bębnienie w deski. Holmes skoczył jak tygrys i pchnął drzwi. Były zamknięte. We trójkę napaśliśmy na nie całym ciężarem. Zawiasy puściły jedna po drugiej i drzwi padły z trzaskiem. Przeskoczyliśmy przez nie i stanęliśmy w przyległym pokoju.

Był pusty.

Ale tylko przez chwilę staliśmy zaskoczeni. W jednym rogu, bliżej nas, ujrzyliśmy drugie drzwi. Holmes podbiegł i otworzył je jednym szarpnięciem. Na podłodze komórki leżały rzucone marynarka i kamizelka, a na haku za drzwiami wisiał na własnych szelkach naczelny dyrektor towarzystwa akcyjnego Franco–Midland. Podkurczył kolana, głowę ohydnie przechylił na bok, a dyndającymi nogami miarowo uderzał w drzwi. Ten odgłos przerwał przed chwilą naszą rozmowę. W mgnieniu oka pochwyciłem go w pól i uniosłem. Holmes z Pycroftem rozluźnili węzeł gumowych szelek, ginący w sinych fałdach skóry na szyi. Potem wnieśliśmy samobójcę do pokoju, gdzie leżał z popielatoszarą twarzą, wydymając purpurowe wargi przy każdym oddechu: straszna ruina tego, czym był jeszcze przed pięcioma minutami.

— Co o nim myślisz? — zapytał mnie Holmes.

Pochyliłem się nad nim. Puls był słaby i przerywany, ale oddech z każdą chwilą stawał się głębszy, nawet powieki zaczęły drgać ukazując skrawek białka.

— Jedną nogą był w grobie — powiedziałem. — Ale się wygrzebie. Otwórzcie okno i dajcie mi karafkę z wodą.

Rozpiąłem Pinnerowi kołnierzyk, bryznąłem mu wodą w twarz i zastosowałem sztuczne oddychanie. Wreszcie odetchnął pełną piersią.

— Teraz to już tylko kwestia czasu — powiedziałem wstając. Holmes stał przy stole z rękami wsuniętymi w kieszenie i głową opuszczoną na piersi.

— Myślę, że trzeba wezwać policję — powiedział. — A wolałbym dać im zupełne wyjaśnienie zagadki.

— Cholernie ciemna sprawa — powiedział Pycroft drapiąc się w głowę. — Po co mnie tu ściągnęli i po co...

— E, to dość jasne — niecierpliwie przerwał mu Holmes. — Ale czemu się wieszal?

— To tamto pan rozumie?

— Tamto jest chyba dość jasne. Co ty myślisz, Watsonie?

Wzruszyłem ramionami.

— Przyznaję szczerze, że jestem za głupi — odparłem.

— Gdybyś przemyślał sprawę od samego początku, doszedłbyś. I tylko do jednego wniosku.

— Do jakiego?

— Wszystko kręci się koło dwóch punktów: Po pierwsze chodziło o to, żeby zmusić Pycrofta do napisania pisma wyrażającego zgodę na objęcie posady w tym idiotycznym towarzystwie. Czy pojmujesz, ile to daje do myślenia?

— Nic nie pojmuję.

— No więc po co go do tego zmuszali? Takie rzeczy zwykle załatwia się ustnie i w jakim celu zmienialiby teraz ten zwyczaj? Czy nie widzi pan, mój młody przyjacielu, że chodziło o wzór pańskiego pisma, a tylko w ten sposób mogli go zdobyć.

— Ale po co?

— O to właśnie chodzi. Po co? Jeśli odpowiemy na to pytanie, znacznie posuniemy się naprzód. Po co? Może być tylko jeden poważny powód. Ktoś chciał podrobić pańskie pismo i potrzebował wzoru. A gdy teraz przejdziemy do drugiego punktu, zobaczymy, że oba się łączą. Myślę o naleganiu Pinnera, by pan nie zawiadamiał Mawsona o swej rezygnacji i by w tym poważnym biurze sądzono, że pan Hall Pycroft, którego nikt nie zna, stawiał się do pracy w poniedziałek rano.

— Wielki Boże! — wykrzyknął Pycroft. — Jakże byłem głupi!

— Widzicie więc, jak wyglądała historia z pismem. Wyobraźmy sobie, że do pracy zamiast pana zgłosił się ktoś o innym charakterze pisma niż na pańskim podaniu. Sprawa od razu by się wydała. Ale w ciągu tych paru dni przed objęciem posady oszust wprawił się w podrabianie pańskiego pisma i mógł czuć się bezpieczny, bo jak wiemy, nikt w całym biurze nie widział pana na oczy.

— Istotnie. Nikt — jęknął Pycroft.

— No więc tak. Najważniejsze teraz było, żeby pana czymś bardzo zająć i usunąć z Londynu, gdzie mógłby pan przypadkiem dowiedzieć się, że ktoś drugi o tym samym nazwisku objął posadę u Mawsona. Wypłacono więc panu znaczną zaliczkę, wysłano na prowincję i zawalono pracą, by pan nie mógł udać się do Londynu i przypadkowo zniweczyć całego planu. To chyba jasne.

— Ale czemu ten człowiek udawał własnego brata?

— To też dość jasne. Widocznie w tę aferę zamieszani są dwaj ludzie. Jeden udaje pana w biurze. Drugi, ten, który pana zaangażował, wiedział, że nie może wciągnąć nikogo trzeciego bez wtajemniczenia go w cały spisek. A tego nie chciał. Zmienił więc swój wygląd, jak mógł, ufając, że podobieństwo, które pan niechybnie zauważy, pójdzie na karb pokrewieństwa. I gdyby nie ta złota plomba, zapewne nie powziąłby pan żadnych podejrzeń.

Hali Pycroft potrząsnął zaciśniętą pięścią.

— Boże, Boże! — wykrzyknął. — Co robił ten inny Hall Pycroft u Mawsona, gdy mnie tu tumaniono? Co począc, panie Holmes? Na Boga, niech pan coś radzi!

— Musimy telegrafować do Mawsona.

— W sobotę zamykają o dwunastej.

— To nic. Pewnie jest tam portier albo jakiś woźny.

— Tak. Mówiono mi w City, że oni tam trzymają stale strażnika ze względu na walory w kasie.

— A więc dobrze. Zadepeszujemy i zapytamy, czy wszystko w porządku i czy tam pracuje ktoś o pańskim nazwisku. Dotąd sprawa jest jasna. Lecz czemu na nasz widok jeden z oszustów powiesił się w sąsiednim pokoju?

— Gazeta — wykrztusił ktoś za nami.

Był to Pinner. Błady i straszny, lecz już o przytomniejszym wyrazie oczu, na pół siedząc, nerwowo pocierał rękami czerwoną pręgę na szyi.

— Gazeta, oczywiście! — wykrzyknął Holmes podnieconym głosem. — Co za idiota ze mnie. Zupełnie o niej zapomniałem sądząc, że to tylko nasz widok napędził mu takiego stracha. Tu na pewno znajdziemy rozwiązanie tajemnicy.

Rozłożył gazetę na stole i krzyknął triumfalnie:

— Patrz, Watsonie! Londyńska gazeta. Wczesne wydanie „Evening Standard”. Mamy rozwiązanie. Spójrz na tytuły... „Zbrodnia w City”. „Morderstwo u Mawsona i Williama”. „Niezwykła próba wielkiego rabunku”. „Ujęcie zbrodniarza”. Czytaj na głos, bo płoniemy z ciekawości.

Z naczelnego miejsca, jakie opis zbrodni zajmował w gazecie; wynikało, że jest to najważniejsze wydarzenie w Londynie. A oto samo sprawozdanie:

„Dziś po południu w City próbowano dokonać niezwykle śmiałego rabunku. Próba ta, która doprowadziła do zabójstwa, zakończyła się ujęciem zbrodniarza. Od pewnego czasu

znana firma bankowa Mawson & Williams miała w depozycie walory wartości ponad milion szterlingów. Dyrektor firmy, zdając sobie sprawę z olbrzymiej odpowiedzialności za tak wielki depozyt, umieścił go w najnowocześniejszych safesach, przy których dzień i noc czuwał uzbrojony strażnik. Ale zdarzyło się, że w ubiegłym tygodniu firma przyjęła nowego urzędnika, Halla Pycrofta, który okazał się niejakim Beddingtonem, znanym fałszerzem i kasiarzem. Beddington, wraz ze swym bratem, opuścił niedawno więzienie po odbyciu pięcioletniej kary. W jakiś jeszcze nie wyjaśniony sposób udało mu się pod fałszywym nazwiskiem objąć posadę we wspomnianym biurze, co wykorzystał dla zdjęcia odcisków z zamków i zapoznania się z położeniem skarbcza i budową safesów.

W soboty urzędnicy u Mawsona kończą pracę o dwunastej w południe. Sierżant Tuson z oddziału policji w City zdziwił się więc ujrawszy jakiegoś pana z sakwojażem wychodzącego z lokalu firmy o godzinie dwadzieścia po pierwszej. Zaostrzyło to jego czujność, poszedł więc za podejrzanym osobnikiem i przy pomocy konstabla Pollocka arestował go po desperackim oporze. Od razu stało się jasne, że popełniono niesłychanie śmiałą i olbrzymią kradzież! W sakwojażu znaleziono różne papiery wartościowe (bony amerykańskich kolei, akcje kopalni etc.) na ogólną kwotę prawie stu tysięcy funtów. Po zbadaniu terenu znaleziono zwłoki nieszczęsnego wartownika wciśnięte w największą z kas. Nie odnaleziono by ich przed poniedziałkiem, gdyby nie energiczna postawa sierżanta Tusona. Strażnika zabito silnym ciosem pogrzebaczka w tył głowy. Bez wątplenia Beddingtonowi udało się wkraść do biura pod pretekstem, że czegoś zapomniał. Po zamordowaniu strażnika zbrodniarz szybko opróżnił największą kasę i wyszedł z łupem. Jego brat, a zarazem współnik, jak dotąd wiadomo, w tej aferze nie brał udziału. Policja szuka go jednak energicznie”.

— Możemy oszczędzić policji trudu — rzekł Holmes spoglądając na nikczemną postać skuloną przy oknie. — Dziwna mieszanina uczuć rządzi sercem człowieka, Watsonie. Brat może tak kochać brata, nawet ostatniego nędznika i mordercę, że na wiadomość o grożącym mu stryczku porywa się na samobójstwo. No, ale nie mamy wyboru. Doktor i ja pozostaniemy na straży, a pan, panie Pycroft, pójdzie łaskawie po policję.